

ZOFIA ROMANOWICZOWA

**PRZEJŚCIE
PRZEZ
MORZE
CZERWONE**

poświęcone
Anna Jamrozek-Sowa



*A jednak, wyznać muszę, jeżeli nie
sądzono mi dotrzeć do takich szczytów,
jakich pragnie moja dusza, to słodsze mi
będą moje męki niżli radości wieczyste.
Chyba żebyś mi cudem odjął pamięć
ziemskich nadziei...*

Dzieje Duszy
św. Teresa od Dzieciątka Jezus

I

Pprzed samym przyjazdem Lucyny powtórzył mi się ten sen, o którym wcale nie wiedziałam, że go jeszcze pamiętam, a nie powtórzył się sam, lecz w otoczeniu całej sobie współczesnej jawy, która była mu źródłem i wstępem do niego, i tłem, tak że mój sen obecny, sprzed miesiąca bez mała odtworzył z zadziwiającą wiernością zarówno to, co było, tyle już lat temu, jak i to, co mi się wówczas któreś nocy przyśniło, jedno ząębione o drugie, powiązane tak ściśle, sen z jawą, że budząc się jak wtedy z krzykiem, przekonana byłam, że budzę się nie teraz, a wtedy, i szukając obok siebie Lucyny, jej nagiego ramienia, jej odwróconych pleców, bo śniło mi się oczywiście, że śpi odwrócona ode mnie plecami, jak to było w jej zwyczaju, chciałam zawołać jak wtedy: Leszek jest! Leszek żyje! – Ten krzyk miałam na ustach.

Czyli, zanim przebudziłam się na dobre, przebudziłam się najpierw we śnie i były dwie wyraźne fazy tego przebudzenia, dwa jego pokłady: najpierw Lucyna spała obok mnie całkiem wyraźnie, całkiem cieleśnie, czułam

bijące od niej ciepło, zapach skór i futer, bośmy wtedy, gdy mi się to przyśniło, pracowały w kuźnierni i nasze włosy, nasza skóra przesiąkły tym zapachem, słyszałam jej oddech, widziałam, jak budzi się ona także na mój krzyk, na moje wołanie, przytomna i z najgłębszego snu od razu w pogotowiu, jak to ona. Miałam jej właśnie powiedzieć, jak wtedy, bez tchu: Leszek jest! Leszek żyje! – ale zaraz potem, w nagłym i ponownym obsunięciu się, zobaczyłam poduszkę powleczonej białą, nietkniętą, bez wgłębienia, które pozostawia śpiąca czyjaś głowa, i ta poduszka, pierwszy rekwizyt jawy, pierwszy anachronizm snu, przywołała mnie do rzeczywistości skuteczniej niż zbieranie myśli, tarcie oczu. Nie miałyśmy tam, wtedy, białych poduszek.

Byłam sama, Lucyna zaś wsiadła dopiero do tego swojego luksusowego, transatlantyckiego samolotu, którego makietę, rozkrojoną wzdłuż, podziwiałam w witrynie pobliskiego biura podróży, nie umiając sobie tego odmówić, ile razy droga prowadziła mnie tamtędy, a na dobrą sprawę zawsze mogła mnie tamtędy prowadzić, chyba żebym za wszelką cenę chciała uniknąć rozkopanej tam od pewnego czasu ulicy. Ale nie chciałam, więc i parę razy dziennie zdarzało mi się patrzeć na rzędy miniaturowych foteli, na laleczkę blond w stroju stewardessy, niosącą na tacy napoje, na lotnika w przezroczystej kabinie obsługującego niezwykle przyrządy z niezmaconą pogodą manekina. U jedynego skrzydła obracała się para śmigieł z szybkością pokojowego wentylatora, wprawiając makietę w ledwo dostrzegalne drżenie. Można po-

wiedzieć, że cały rozkład samolotu poznałam na pamięć, w zmniejszeniu, kształt okien, kąt nachylenia foteli, napisy i nawet, jakby tworzące z nim jedną całość, dwa gatunki szafiru, ocean i niebo, tu fale, tam obłoki, pomiędzy którymi huśtał się na nylonowej nici.

Wszystko to nabrało dla mnie wielkiej realności, wielkiej ważności, odkąd wiedziałam, że Lucyna zdecydowała się wysłuchać mnie, że przyjedzie, przyleci takim właśnie samolotem. Logiczniej byłoby więc, ale widocznie logika snów jest inna, aby Lucyna przysniła mi się w swej podróży, w owym samolocie na przykład, gdzie nieraz w myślach widziałam ją, drzemiącą, z głową odrzuconą do tyłu, na jednym z foteli blisko ogona, gdzie rezerwowałam dla niej miejsce, jako że to podobno bezpieczniej, aby przysniła mi się w taki właśnie sposób, skoro bez przerwy przed zaśnięciem myślałam o tej podróży, która zaczęła się mniej więcej wtedy, kiedy ja kładłam się do łóżka. Myślałam więc, że odtąd każda chwila zbliża nas do siebie, starałam się nadaremnie wykalkulować, czy z tych swoich antypodów leci teraz do mnie z prądem, czy też pod prąd czasu, czy ubywa jej, czy też przybywa godzin tej nocy, którą budzik mój odmierzał jak wszystkie inne, tą samą miarą, budzik bez krzty wyobraźni. Nie byłam w stanie, i to mnie męczyło przed zaśnięciem, zdać sobie sprawy, która to może być dla niej godzina, gdy ja tu kładę się spać, aby przespać czym prędzej ostatnią, dzielącą nas porcję czasu, bo dla większej komplikacji ona w tej porcji czasu poruszała się, niesiona przez samolot, w fotelu, który według makiety

dawał się na noc rozkładać jak łóżko, na którym można było i spać, i czuwać. Nie mogłam więc sobie tego ani rusz uświadomić z należytą pewnością, w którą ona właściwie stronę tę noc mija, jak się przez nią przedziera, czy skraca ją sobie, czy też, przeciwnie, dłużej w niej się ociąga, lotem swoim dopomagając kierunkowi nocnego obrotu, rozciągając godziny ciemności, aż wreszcie w którymś momencie, lubiłam wyobrażać sobie, że nastąpi to nad oceanem, w niezmiarzonej wody i nieba, tu fale, tam obłoki, bez żadnego oparcia w przestrzeni, bez słońca nawet i bez gwiazd, samym tylko przyrządom, busolom dając wiarę, na znak stewardessy pasażerowie przesuną wskazówki zegarków, Lucyna także, rejestrując to potknięcie się czasu, ten hiatus rozwartą bez żadnego zawrotu głowy, może nawet bez zdziwienia, i znowu budzik mój będzie miał rację, i już będziemy obie po tej samej stronie ziemi, w tej samej warstwie nocy, można powiedzieć, już będziemy razem, zanim przywitamy się na dworcu lotniczym, jak umówiliśmy się listownie, o godzinie trzynastej minut pięćdziesiąt, w tym samym miejscu, w tym samym punkcie życia, jakby to była taka zwykła na świecie rzecz.

Biedziłam się więc przed zaśnięciem, dobrze to pamiętam, z problemami wynikającymi dość podrzędnie z tego, że Lucyna przybywała do mnie aż z tak daleka i że ziemia jednak jest kulista i nie dla wszystkich jednakowa, gubiąc się, jak to ja, w obliczeniach, z lekka upokorzona, choć i rozśmieszona faktem, że nie wiem tego, co zapewne każde dziecko wie w szkole, nazbyt znowu leni-